

Pamiętnik zawierający szczegóły długiego życia

Część IV

Moja wieś

Na początku tego pamiętnika figuruje krótki opis mojej rodzinnej wsi, w tej dodatkowej części chcę podać niektóre pamiętne wyjątki z ówczesnego życia mieszkańców tej wsi, wykazać imiennie niektórych gospodarzy.

Tylko trochę pamiętam, że był najbogatszy gospodarz na brzegu wsi pan Antoni Truskolaski, posiadający około 4 ha włok ziemi przeszło 100 morg, duże siedlisko z ogrodem, sadem i łąką, a na łące sadzawka obrośnięta tatarakiem i krzewami – drzewami na burcie, w której latem ja i inni chłopcy kąpali się, łapali rybki, najładniejszy we wsi dom z gankiem i pokojami gościnnymi, przed domem studnia, duże ładne zabudowania gospodarskie, 4 stodoły, obory, stajnie, chlewy i spichrz z odpowiednią piwnicą, obszerne podwórze gospodarskie porośnięte trawą, całe obejście wyglądające ładnie jak mały szlachecki dworek. Właściciel pan Antoni – tak go wszyscy nazywali, był dość inteligentny myśliwy, był nawet jakiś czas wójtem gminy Truskolasy – później skasowanej i przyłączonej przy zmianach administracyjnych do gminy Sokół. Odbywały się w jego domu przyjęcia gościnne, zatrzymywali się przyjezdni urzędnicy i księża, a prowadził wówczas przez tę wieś ważny szlak komunikacyjny na Tykocin przez Czajki, Kobylin, Zawady, Rutki i inne. Miał 3 synów i córkę, dwóch synów wykształcił, jeden najstarszy Franciszek był rotmistrzem w 13 pp. w Łomży, drugi Józef był sekretarzem Sądu, później Komornikiem w Szczuczynie, a za tym Sędzią Hipotecznym w Tykocinie. W jakichś okolicznościach pan Antoni, uczciwy i szanowany człowiek, zamożny gospodarz, niespodzianie został zaatakowany przez Żydów geszefciarzy z Sokół o dług w kwocie 5 tys. rubli, w tamte czasy duża suma prawie równająca się wartości posiadanego majątku (podobno Żydzi sfałszowali czy zdobyli podpis podstępem). Nie miał możliwości zapłacić lub udowodnić swego podpisu, więc cały majątek z licytacji dostał się w ręce Żydów.

Pan Antoni z wielkim żalem musiał opuścić rodzinną z dziada pradziada wieś i sąsiadów i wyprowadził się daleko aż poza Małkinię i Bug, gdzie nabył mniejsze gospodarstwo w gminie i parafii Prostyń, powiat Węgrów, b. gubernia Siedlecka. Z moimi rodzicami był w bardzo przyjaznych stosunkach jako dobry sąsiad i podobno daleki krewny, żona jego bardzo przyjemna, gościnna i szanowana, dobra gospodyni, była chrzestną matką mojego młodszego

brata Mikołaja. Rodzice moi bardzo współczuli i żalowali, szczególnie matka stale powtarzała i wspominała tę ich tragedię życiową.

Po pewnym czasie ten dworek obniszczony – żydzi wycięli ładny las około 14 margów starodrzew, wysokie sosny, drzewo wywieźli, zupełnie zniszczyli i część ziemi sprzedali – nabył niejaki Modzelewski Leopold – niebardzo dobry człowiek, kawaler, zadzierający się niesłusznie z gospodarzami wsi, wszczynający o byle co kłótnie i procesy. Od niego po paru latach nabył ten majątek Jan Łuniewski, gospodarz z sąsiedniej wsi Truskolasy–Wola, który miał brata księdza, po śmierci którego otrzymał spadek około 5 czy 6 tys. rubli, za które kupił ten majątek.

Łuniewski był zwyczajny chłop, nie umiejący czytać ni pisać, miał syna Michała i córkę Mańkę zwaną „Mynka”. Michał jako syn bogatego gospodarza, posiadającego oprócz nabytego majątku na starej wsi, posiadał swój majątek około 20 morgów sąsiedniej wsi Truskolasy-Wola – dosyć przystojny i rosły zaczął prowadzić kawalerskie hulaszczcze życie, rujnował majątek ojca i swój, za dopuszczenie się hańbiącego czynu – gwałtu po pijanemu, dostał się do więzienia. Po odbyciu niewielkiej kary, około roku czy więcej – bo ojciec bogaty nie szczędził pieniędzy na obronę – uwiódł córkę sąsiadów, równie zamożnych gospodarzy Truskolaskich, zwanych Maciejakami z ojca Macieja, Józję – dosyć przystojną i inteligentną, przez parę lat przebywała u bogatego stryja w Warszawie, gdzie skończyła jakąś szkołę, bo umiała dobrze czytać i pisać, która w nadziei, że pobiorą się zakochała się w panu Michale i wskutek tego urodziła dziecko, syna Stefana, z którą mimo nalegania rodziców i sąsiadów nie chciał się żenić. Wygrała sprawę w Sądzie Okręgowym o alimenty, uzyskany wyrok – tytuł wykonawczy, w podstępny sposób wykradł, za co znowu został skazany przez Sąd Okręgowy na dwa lata więzienia. Za tym parę lat później 21 grudnia 1901 roku podczas sprzeczki i bójki po libacji w restauracji w Sokołach tenże pan Michał zabił ojca panny Józji – Apolinarego Truskolaskiego, spokojnego dobrego naszego sąsiada. Przyjechawszy na święta Bożego Narodzenia do domu byłem przy sekcji zwłok, dokonywanej w szopie Straży Pożarnej w Sokołach przez lekarzy, powiatowego i miejscowego, przy pomocy miejscowego felczera Cimochońskiego w obecności Sędziego Śledczego Łaszki, późniejszego Sędziego Pokoju w Szczuczynie, u którego pracowałem jako Sekretarz. Za tym po sekcji byłem na nabożeństwie żałobnym i pogrzebie w dzień Wigilii Bożego Narodzenia. Za dokonanie zabójstwa p. Michał znowu po raz trzeci był zasądzony na parę lat więzienia. Po odbyciu kary już nie był taki zawadyacki, zapoznał się z panną w Truskolasach Olszynie, później ożenił się i tam dożywał w biednym stanie na łasce teściów, na niedużym gospodarstwie, a panna Józia, choć miała dzieciaka, kilka lat wcześniej przed tragiczną śmiercią ojca wyszła nieźle za mąż, za niejakiego pana Antoniego Roszkowskiego z przydomku Łoś gospodarza w Płonce Kościelnej, synek po dorostaniu wyemigrował do Ameryki.

Rodzice Michała, starzy Łuniewscy strapieni złym postępowaniem syna sprzedali majątek, zamieszkiwali przez kilka lat u moich rodziców w drugiej połowie domu, żyli z gotówki i procentów, później przeprowadzili się do Sokół i po wybuchu I wojny światowej umarli prawie z głodu i nędzy, bo rozpożyczone pieniądze przepadli i stracili wartość. Taki los spotkał wiele rodzin, co wyzbyli się ziemi przed wybuchem pierwszej wojny światowej lub w początkach wojny.

Majątek od Łuniewskich nabyli dwaj bracia – Władysław i Ludwik Mojkwscy z sąsiedniej wsi Czajki, którzy po paru latach sprzedali jeden swoją połowę dwóm braciom – Stanisławowi i Ludwikowi Młynarskim, przybyłym z Buga, pow. Sokołowski, a drugi Olędzkiemu, który rozprzedał po działkach miejscowym gospodarzom ze Starej Wsi, zaś Ludwik Młynarski po paru latach sprzedał swoją połowę dwóm braciom, niejakiemu Frankowskiemu, i wyjechał na nowo nabyty majątek w powiecie Szamotuły, województwo poznańskie. Tak ładny dworek po panu Antonim Truskolaskim został rozdrobniony, przestał istnieć.

Drugi oboczny sąsiad moich rodziców, Władysław Truskolaski, syn Macieja, niebogatego gospodarza, jeden z 4 braci, zwyczajny wiejski chłopiec, już dorosły, pojechał do Warszawy w poszukiwaniu pracy i chleba, bo w domu ojca był niepotrzebny, a służyć za parobka u bogatszych gospodarzy nie chciał, więc poszedł w świat szukać chleba i szczęścia i tam w Warszawie akurat poszczęściło mu się, bo po kilku latach pracy u jakiegoś bogatego kupca z chłopca dosłużył się subiekta i w jakiś tajemniczy sposób stał się bogaczem, właścicielem kilku kamienic na ulicy Chłodnej, Elektorальной i in. Miał duży bogaty sklep win, wódek i wszelkich towarów kolonialnych, we własnej, dużej, trzypiętrowej kamienicy na ul. Elektorальной róg Białej, słynął jako kupiec pierwszej gildy (kat.). Będąc pierwszy raz w Warszawie w 1902 r., byłem u niego w sklepie, gdzie wówczas mój wujek, matki brat Wojciech Perkowski był kasjerem, a kilka lat przed tym czytałem w dużym kalendarzu warszawskim „Wiek”, w którym w wykazie ulic i właścicieli domów figurował „Truskolaski Wład.” jako właściciel 5 czy 6 nieruchomości i czytałem ogłoszenia reklamacyjne dosyć szumne w dziale kupiectwa.

Stawszy się bogaczem – jak sięga moja pamięć – od roku 1887, powiększył w dużym stopniu gospodarstwo we wsi Truskolasy Stare, pobudował na miejscu starego lichego domu nowy dosyć duży dom drewniany, kryty słomą, bo dawniej w tamtejszych stronach nie znali dachówki i wszystkie domy i inne budynki kryte były słomą. Połowa tego domu od ulicy – dwie izby, była ładniej urządzona i umeblowana, stanowiła własność tego pana Władysława z Warszawy, jak również i połowa całego majątku, obszaru około 35 morg. ziemi. W kilka lat po pobudowaniu domu pobudował wspólnie z braćmi nowe 3 duże stoły w miejscu starej lichej stodoły, poszerzając siedlisko i gumno, wyglądające okazale jak mały szlachecki

dworek. W tym dworku wraz z rodziną spędzał wakacje letnie i co pewien czas wyprawiał huczne przyjęcia, bale, na które przybywali niektórzy panowie obszarnicy, księża z Sokół i z Kobyлина i inteligencja m.in. Sędzia Grabowski, Sekretarz Józef Truskolaski i inni.

Pamiętam, jak na tych balach przez całe noce było gwarno, głośne rozmowy, śmiechy, wiwaty, krzyki i śpiewy przy otwartych oknach zakłócały nocny spokój we wsi, nie pozwalały nam i innym bliższym sąsiadom spać. Po pewnym czasie niektóre domy w Warszawie sprzedał, a kupował okazjnie majątki, m. in. był przez kilka lat właścicielem dużego majątku, obszaru kilkudziesiąt włók Kurowo w pobliżu Tykocina. Posiadał wspaniałą wieloletnią rezydencję i dworek w Radości koło Warszawy. Ze starszą jego córką Wandą ożenił się Wacław Jaruzelski współwłaściciel majątku Ruś-Stara koło Sokół, prawnik, który po odzyskaniu przez Polskę niepodległości był Sędzią Pokoju 25 rewiru w Warszawie, a później Wiceprezesem Sądu Okręgowego w Warszawie.

Pamiętam, jak w tym dniu co panna Józia Truskolaska urodziła dziecko, było to w piątek 22 września 1894 r., wybuchł pożar w tejże wsi Truskolasy Stare w zabudowaniach Apolinarego Jamiołkowskiego, spaliły się jego gumna, dwie stodoły, chlewy, nowy spichrz i również nowy okazały dom, u obocznego jego sąsiada stryjecznego brata Franciszka Jamiołkowskiego gumna i stary dom oraz drzewo na nowy dom i gumna jeszcze dwóch obocznych gospodarzy Adama Piszczatowskiego i Michała Truskolaskiego, domy tych gospodarzy stojące trochę opodal i w sadku udało się uratować, stodoły były wypełnione zbożem, spaliły się i wszelkie inwentarze narzędzia i różne ruchomości, bo pożar wybuchł nagle z niewiadomej przyczyny, pewnie od papierosa czy niedopałka w pogodny, słoneczny dzień po południu. Biedni pogorzelnicy, duża rodzina – 9 osób Franciszka Jamiołkowskiego zamieszkała u nas w drugiej połowie nowo pobudowanego w tymże roku na wiosnę domu, mieszkali przeszło rok, na drugą zimę przeprowadzili się do nowo pobudowanego domu własnego.

Pogorzelec Apolinary Jamiołkowski więcej zamożny, mimo wielkich strat wprędce po pożarze kupił nowy dom, dosyć duży u gospodarza w Gołębiach koło Poświętnego, który po zwiezieniu postawił i zaraz w nim już na zimę tegoż roku zamieszkał, a budynki gospodarskie pobudował latem następnego roku, także i inni pogorzelnicy pomału odbudowali się, odbudowane domy i stodoły – stoją do dziś. Biedni pogorzelnicy musieli jeździć po uproszonym po okolicznych wsiach i w taki sposób zdobywać środki na żywienie rodzin i inwentarzy, bowiem w takim nieszczęśliwym wypadku nikt wsparcia nie odmówił; pogorzelnicom zwykle dawano snopek lub dwa i więcej żyta lub innego zboża, a w razie wymłócenia miarkę czystego zboża, kaszy, mąki itp.

Trzeci nasz oboczny sąsiad był Moczydłowski Piotr przybyły kiedyś z drugiego końca parafii ze wsi Rzońce, trochę światły, umiejący czytać i pisać, który przez długie lata był sołtysem, u mnie też był jedyny we wsi zegar. U niego jednego w naszej wsi był zwyczaj

urządzania i spożywania wieczerzy wigilijnej w Święto Bożego Narodzenia wieczorem, kiedy pojawi się pierwsza gwiazdka na niebie, a nie jak u wszystkich innych w tej wsi i w dużej większości w całej parafii i tamtejszej okolicy – rano spożywali wieczerzę wigilijną, zwaną nierzadko kuciją o późnym śniadaniu, czyli wraz ze śniadaniem najadali się na cały dzień. Było ściśle przestrzegano, żeby przed tym śniadaniem wigilijnym i połamaniem się opłatkiem nie jeść, bo będzie cechowało łakomstwo, czyli skłonność do łakomstwa i chciwości przez cały rok. Były i inne w związku z tym dniem wigilijnym różne przesady i zwyczaje, a także wieczerza wigilijna musiała się składać z 9 potraw. W ten dzień wigilijny musieli wszyscy dobrze rano przed świtem, po drugim pianiu kogutów, około godziny 3–5 wstawać z przeświadczeniem, że w razie przeciwności będzie skłonność do lenistwa i ospałości przez cały rok. Także unikano kłótni i wszelkich nieporozumień z tymże przeświadczeniem. Po śmierci starego Moczydłowskiego był dobrym najlepszym sąsiadem i przyjacielem naszej rodziny jego syn Antoni Moczydłowski, chrzestny ojciec najmłodszego mojego brata Romana, uczciwy i dobry gospodarz, który ożenił się w tejże wsi z Salusią Jamiołkowską, córką byłego pogorzelnika Franciszka, ładną panną i wychował dobrze ośmioro dzieci: 6 córek i dwóch synów. Synowie Józef i Lucjan, dobrze oddzielnie gospodarzą na tym majątku pozostałym po ojcu i dziadku, mają ładne nowe domy i nowe budynki gospodarskie, co widziałem, zwiedzając niedawno swoją rodzinną wieś.

Dalszym naszym sąsiadem był Apolinary Jamiołkowski, u którego był wyżej opisany pożar, udawał trochę pana, nosił niegoloną brodę, mówił trochę z litery krzykliwym głosem. Po Moczydłowskim był przez kilka kadencji sołtysem. W czasie pierwszej wojny światowej, będąc sołtysem, dał się trochę we znaki niektórym sąsiadom przez zbyt gorliwe wykonywanie obowiązków na rzecz wrogich nam władz, czyli zaborców, co sam widziałem i osobiście odczułem, zamieszkując chwilowo w tej wsi w 1915 roku z powodu ewakuacji z terenu działań wojennych, gdzie zajmowałem stanowisko służbowe. Tenże sąsiad i poprzednio miał skłonności do kłótni i ostrych nieporozumień z mało ważnych powodów z sąsiadami i nawet do pobicia słabszych od siebie, czyli pokrzywdzenia, co powodowało i procesy sądowe.

Posiadał i prowadził wspólnie z bratem Konstantym niepodzielnie średnie około 30-morgowe gospodarstwo. Brat był żonaty, bezdzietny, spokojny, pracowity, pracował wraz z żoną jak parobek, wykonując najcięższe roboty; przeważnie orał, czyli uprawiał dobrze ziemię. Jego żona zwana Kostusiowa była religijna i dobra śpiewaczka, podobnie jak moja matka, nawet do Częstochowy odbywała pieszo dwa razy podróż.

W ich domu był obraz M. B. Częstochowskiej, noszony ładny ołtarzyk, przed którym odbywały się nabożeństwa majowe, na które przez cały maj przychodziła gromadnie młodzież i starsi, czyli ogół całej wsi. Czasem w pogodny wieczór szli z obrazem przez wieś do krzyża poza wsią, śpiewając głośno ładne pieśni maryjne, a pod krzyżem litanię Loretańską i

odpowiednie modły, a powracając znowu pieśni, czemu władze, choć była wówczas niewola carska, nie sprzeciwiały się, można też było bez żadnych zezwoleń procesjonalnie z obrazem chodzić do kościoła lub do innych parafii na odpusty, ze śpiewem różnych pieśni. Ładny to był praktykowany z dawien dawna w tamtych stronach zwyczaj. Był też zwyczaj obchodzenia przynajmniej raz w lecie procesjonalnie z obrazem i śpiewem pieśni i modłów całego ograniczenia wsi, które dla naszej wsi wynosiło około 6 kilometrów. Bywało to w celu odwrócenia klęski nieurodzaju, gradobicia, gwałtownych burz z piorunami, pożaru i innych różnych nieszczęść i wypadków.

Inni sąsiedzi na tak zwanym drugim brzegu wsi byli spokojni, uczciwi, pracowici, zwyczajni gospodarze; rolnicy, biedni i bogatsi, stosownie od ilości posiadanych morgów ziemi prawie wszyscy niepiśmienni, czyli analfabeci, z małymi wyjątkami znajomości czytania na książkach do nabożeństwa lub umiejący się tylko podpisać.

Na samym końcu wsi pod lasem na wąskim siedlisku mieszkał najbiedniejszy gospodarz Szymon Jabłonowski zwany z przydomku szlacheckiego „Oracz”, posiadający około 10 mórg ziemi, ~~mający~~ mały nędzny domek, także stodołę i chlewki. Był on nieładny, niezaradny, zawsze lichy przyodziany, zarośnięty, zaniedbany i brudny. Wszyscy wyśmiewali się z niego przezywając: kiełda, paplona itp. Wszyscy gospodarze orali ziemię wołami, a on nie miał wołów, orał swoją ziemię lichym koniem i krową. Był on żonaty, bezdzietny, żona starsza od niego była podobnie niezaradna i chorowita, żyli biednie. On pogadywał, że jak mu stara umrze, to się z młodą ożeni i tak się stało.

Kiedy żona umarła miał już około 60 lat. Upatrzył na żonę młodą dwudziestoparoletnią niezamożną pannę w drugim końcu parafii Sokoły, we wsi Porośl. Ojciec mój, którego uprosił o pośrednictwo w zawarciu małżeństwa za tak zwanego rajka, odmawiał stanowczo, odradzał i przekonywał, że to nie dla niego starego ta młoda dziewczyna, byłem obecny przy tym odradzaniu – także i inni sąsiedzi odradzali, proponując inne odpowiednie kandydatki na żonę. I ksiądz proboszcz odmawiał się przyjąć i ogłosić zapowiedzi przedślubnych, również jeszcze bardziej odradzając z naciskiem, że to niestosownie i nie będzie dobre małżeństwo. I pannie także odradzał i tłumaczył, mówiąc: „dzieweczko, na co ty się gonisz, na tego starego trupa i kawałek ziemi”, przytaczając odpowiednie przykłady.

Panna zgadzała się na zawarcie małżeństwa z racji, że zapisał jej notarialnie połowę, czy też cały posiadany majątek, z nadzieją, że stary mąż niedługo umrze, a ona wyjdzie za drugiego, młodego. I tak się pobrali, odbył się skromny wyjazd pana młodego do panny, według wiejskiego wówczas praktykowanego w tamtych stronach w końcu XIX wieku zwyczaju i ceremoniału, to jest poczęstunek w miarę możliwości i zamożności krewnych i sąsiadów i wyjazd z muzykantem w towarzystwie kilku lub więcej osób. Nie pamiętam dokładnie, jaki był ten wyjazd. Zatem odbył się ślub i wesele i wprędce ~~czy zaraz~~ przenosiny młodej żony do starego

męża. Pamiętam, że zaraz po przyjeździe była u nas w domu. Na weselu był mój ojciec z matką i siostrą.

Życie ich nie układało się dobrze i zgodnie. Stary mąż nieprędko umarł, żył ładnych kilkanaście lat, były między nimi różne nieporozumienia. Ona użalała się do mego ojca i sąsiadów na złe obchodzenie się i warunki, czasem uciekała do sołtysa lub mojego ojca i matki. On ze swojej strony użalał się i narzekał, że nie chce z nim zgodnie żyć. Że ucieka od niego czasem w nocy do młodszego sąsiada. Zdarzały się awantury w nocy i jego przeraźliwy krzyk wzywający interwencji i pomocy, co sam słyszałem. Pewnego razu gromki krzyk obudził sąsiadów i niektórzy pośpieszyli, między innymi pobiegł mój brat Franciszek będący podsołtysiem. Okazało się, że ona uciekła. Na prośbę odszukania została znaleziona w chlewie w kojcu u tego sąsiada Adama P. Gdy ją prowadzili do męża, powiedziała ze złością, że nie chce żyć z takim starym karagą – uciekła, bo chciał ją zadusić.

Wówczas za czasów niewoli carskiej kobiety zamężne były ograniczone w prawach. W razie ucieczki na żądanie męża policja miała prawo i obowiązek aresztować i dostarczyć, czyli doprowadzić do męża zbiegłą żonę i mąż miał prawo bezkarnie bić żonę, oczywiście jeżeli na taką karę zasłużyła. Nie wolno było znęcać się i powodować uszkodzeń ciała i zdrowia, za co groziła surowa kara.

Z tego niefortunnego, czyli niedobrego małżeństwa doczekali się syna, ku radości starego ojca, a później w parę lat córki, którą nieźle wychowali. Syn Bolesław ur. 1896 r, gdy podrósł, nieźle gospodarzył, ożeniwszy się po sąsiedzku z p. Józją Jamiołkowską podniósł i ulepszył gospodarstwo, siostrę wydał za mąż, rodziców dochował i pochował, wychował 6-oro dzieci. Najstarszego syna, chętnego do nauki, chciał wyuczyć na księdza. Z braku środków na naukę w gimnazjum umieścił go w niższym Seminarium OO Kapucynów w Łomży, lecz on, gdy miał już prawa wstąpić do Wyższego Seminarium Duchownego zrezygnował i zaraz po II wojnie światowej poszedł na nauczyciela, był kierownikiem Szkoły w Ełku, zabrał tam do siebie ojca, który już owdowiał i majątek przekazał synom, wyrobił mu odpowiednią pracę, na której dosłużył się emerytury i obecnie ma dobre dożywocie przy dobrym synie nauczycielu. W tejże mojej rodzinnej wsi było jeszcze godne uwagi wydarzenie. Kiedy byłem małym dzieckiem i nie pamiętam, wiem tylko z wielokrotnych opowiadań rodziców i sąsiadów, że sąsiadka, siostra starego Tomasz Truskolaskiego otruła swojego męża, przy udziale czy z namowy kochanka, który po aresztowaniu w więzieniu w Łomży zmarł. Na miejscu wypadku we wsi odbyła się sekcja zwłok przez Komisję Sądowo-Lekarsko-Śledczą. Sprawczyni dokonania zbrodni mężobójstwa została skazana przez Sąd Okręgowy w Łomży na 12 lat ciężkich robót na Syberii i dożywotni pobyt tam na Syberii bez prawa powrotu do rodzinnych stron. Tak wówczas sądzili za zbrodnie zabójstwa, otrucia, podpalenia i podobne inne.

Mieszkańcy wsi często i długo wspominali to wydarzenie, mówiąc, że „Pieśka rznęli”, było tyle a tyle lat temu jak Pieśka rznęli, bo ten otruty niejako Jabłonowski Antoni był zwany z przydomku Pieśko. Owa skazana po odbyciu kary wyszła tam na Syberii w mieście Czyta obwodu Irkuck za męża i dobrze się miała. Na jej zaproszenie i przysłanie pieniędzy bratanka jej Marianna Mężyńska, zamężna w Truskolasach Olszynie, odwiedziła swoją ciotkę w 1907 roku, co pamiętam, bo pisywałem jej listy do ciotki po rosyjsku w odpowiedzi na listy.

Odbываły się w owej wsi od czasu do czasu, a szczególnie w karnawale, zabawy taneczne, bo pracowita młodzież chciała się bawić, a nie było na miejscu we wsi żadnego muzykanta, czyli grajka, więc musieli umawiać i sprowadzać z sąsiednich wsi Truskolasy Lachy, Borki i Czajki. Najczęściej przychodził ze wsi Czajki, parafii Kobylin pan Bronisław Czajkowski, zwany Bronul, starszy z brodą, który na swoich starych skrzypcach, lewą ręką tak zwanym mańkutem zamasyście od ucha dobrze wygrywał różne skoczne polki, walce i różne inne, a wszyscy z ochotą i zapałem ładnie tańczyli i wywijali przytupując i przyśpiewując. Na taką wiejską zabawę nazywaną taniec przychodzili gromadnie wszyscy mieszkańcy wsi, młodzież, mężczyźni, kobiety i dzieci podrostki. Bawili się wesoło i spokojnie bez żadnych zakłóceń, awantur i jakichkolwiek nieprzyjemnych zajęć, od wczesnego wieczora do późnej nocy. Takie zabawy odbywały się i w naszym domu do późnej nocy. Takie zabawy odbywały się i w naszym domu po pobudowaniu nowego domu z obszerną odpowiednią izbą.

W kilka lat po pierwszej wojnie światowej i odzyskaniu przez Polskę niepodległości była w tej wsi zlokalizowana Szkoła Początkowa, kilka klas, przeniesiona ze wsi Truskolasy Lachy, mieszcząca się w dwóch domach dawnych pogorzalców Jamiołkowskich, do których należały dzieci ze wszystkich Truskolas i z sąsiednich najbliższych wsi Czajki i Kierzki. Szkoła funkcjonowała przez 8 czy więcej lat, dopóki nie wybudowali nowej siedmioklasowej Szkoły Powszechnej we wsi Truskolasy Niewisko, więcej w środku tych wsi, z dogodniejszym dojazdem i dojściem.

Kiedy niedawno, kilka lat temu, mianowicie w 1967 roku latem miałem możliwość zwiedzić rodzinną wieś po długoletnim, około 40 lat niewidzeniu, bo chciałem koniecznie, póki żyję, zobaczyć ją, nawet mi się kilkakrotnie jak na jawie śniła, to zobaczyłem duże zmiany polegające na tym, że zniknęły stare domy, pokryte słomą, czyli strzechą, na ich miejsce pobudowano nowe okazałe domy pokryte ogniotrwałą dachówką, także i niektóre budynki gospodarskie i w większości przeniesione na nowe siedliska pod lasem na kolonie – działki leśne. Na starym miejscu pozostaje tylko sześć zagród, a starych domów pod strzechą tylko dwa.

Ze smutkiem zobaczyłem dawne nasze siedlisko – puste i zarośnięte trawą i chwastem, z którego nabywca, nowy właściciel, dom i budynki gospodarskie przebudował na kolonii na początku wsi. Ogrodzenia, czyli płoty porozbierane, tak jakoś dziwnie, zupełnie inaczej ta wieś

teraz wygląda. Spory lasek przylegający do wsi z południowo-wschodniej strony zwany chojniak i brzezina, gdzie było obfitość grzybów i gnieździło się różne ptactwo, wycięty nie istnieje. Starzy ludzie, sąsiedzi i rówieśnicy dawno już poumierali i młodzi ich następcy już się postarzelili, nie było z kim porozmawiać i przypomnieć o dawnym dobrym życiu w tej wsi, przyjemnym i wesołym.

Ten bogaty był sąsiad pan Władysław Truskolaski nie poskąpił ofiarności na rzecz budujących się kościołów. Będąc w przyjacielskich przyjaznych stosunkach z ks. kanonikiem Choińskim proboszczem sąsiedniej parafii Kobylin, dostarczył własnym kosztem wszystko wapno do budującego się nowego kościoła w Kobylinie, budowa którego była rozpoczęta w 1899 roku, a ukończona w 1904 r. na miejscu starego małego, drewnianego, do którego corocznie chodziłem na odpusty na św. Stanisława i św. Apostołów Piotra i Pawła. Nowy kościół jest duży i bardzo ładny jak na wiejską parafię, szczególnie ładne ołtarze, wielki przedstawiający okazale św. Stanisława biskupa i lewy boczny św. Apostołów Piotra i Pawła. Ostatni raz podziwiałem w 1951 roku ten kościół wspaniały, bo pojechałem specjalnie na odpust św. Stanisława i w odwiedziny do krewnych i oby przypomnieć sobie tamtejsze bardzo ładne i gromadne odpusty, na które rokrocznie uczęszczałem od lat dziecinnych, zamieszkując w rodzinnej wsi znajdującej się w prawie jednakowej odległości około 5–6 kilometrów między Sokołami a Kobylinem. Było bardzo duże zgromadzenie wiernych jak ongiś 70–80 lat temu, przepiękne nabożeństwo i procesje eucharystyczne przy mnóstwie bractwa, chorągwi i feretronów, młodzieży, ministrantów i dzieci w ładnych regionalnych podlaskich strojach strojach.

Tenże pan Truskolaski ofiarował i dla swojej rodzinnej parafii Sokoły ładny ołtarz Matki Boskiej w nowo pobudowanym kościele, bardziej wspaniałym w bocznej prawej kaplicy, wiekopomną pamiątkę ku czci Bogarodzicy i dla współbraci wiernych parafian.

Oprócz tego znacznie wcześniej w roku 1898 postawił własnym kosztem – sprowadził z Warszawy duży żelazny krzyż na kamiennym fundamencie ofiarował jako pamiątkę dla rodzinnej wsi Truskolasy Stare na własnym gruncie przy głównej drodze – gościńcu prowadzącym ze wsi do Sokół, przy granicy wsi Truskolasy Niewisko, do którego zwykle odprowadzają mieszkańcy wsi każdego nieboszczyka, czyli zwłoki zmarłego sąsiada lub sąsiadki, pożegnawszy się z nim już na zawsze przy tym krzyżu. Później przy scaleniu gruntów ziemia, na której stoi ten krzyż weszła w naszą kolonię.

Zakończyłem pisanie tego pierwszego tomu pamiętnika w roku 1970.

Paweł Truskolaski